

KONINIANA

MIESIĘCZNIK Towarzystwa Przyjaciół Konina

9-15 marca 2004 r.

NR 3 (12)

1. Z kart przeszłości – ciekawostki z dawnej prasy konińskiej
2. Ze wspomnień – przedruk fragmentów pamiętników i wspomnień
3. Z dziejów Konina – artykuły o treściach historycznych, archiwalia
4. Tworzyli wizerunek miasta – sylwetki ludzi zasłużonych dla miasta
5. Naszym zdaniem – wypowiedzi na aktualne tematy dotyczące rozwoju miasta
6. Inspiracje kulturalne – poezja, proza, rysunek konińskich twórców
7. Z życia TPK – zapowiedzi i sprawozdania z imprez, konferencji, zebrań
8. Barwy codzienności – podpatrzone fotoobiektywem obiekty w mieście
- Odpowiedzi redakcji
- Oko w oko – konkursy ze znajomości miasta dla Czytelników
9. Inne – tematy inne niż wymienione powyżej

Mili i Cierpliwi Czytelnicy!

Niech mi wolno będzie (są pewnie pod ochroną) przebiśnięgami oraz nieśmiałym przedwiosennym słońcem powitać jak najserdeczniej i nie zwlekając podziękować za coraz szersze włączanie się do redagowania „Koninianów”. Przepraszam „wiernego...”, ale list, jak zwykle bardzo sympatyczny, otrzymaliśmy z lekkim opóźnieniem. Ponieważ materiały lutowe były już w redakcyjnym komputerze, nie mogliśmy skwitować listu i stąd obawa, że „wierny” gdzieś się nam zapodział. Czekamy na następne i nieco zażenowani pochwalami, dziękujemy i pozdrawiamy.

Przy okazji – według nas wciąż aktualnego Dnia Kobiet (i chyba dobrze) – postanowiliśmy z Leszkiem przybliżyć Państwu kilka Pań z Koninem związanych. Będą to notki biograficzno-wspomnieniowe. Prosimy o więcej takich osobistych wynurzeń – ładnie uczynił to Janek Sznajder pisząc o doktorze Mieczysławie Czerwińskim. Ciekawy i fascynujący materiał – wspomnienia Józefa Dzidzińskiego, o różnicowanej religijnie, majątkowo i narodowo społecznie Konina na przełomie wieków wyszukał i przygotował do

druku sumienny (mimo zwolnienia lekarskiego) Lech Hejman. Współredaktor pisze też o roli i miejscu bibliotekarstwa publicznego w edukacji społeczeństwa Ziemi Konińskiej.

Niecodzienny materiał o „Świątce konia” wyrzebał z archiwaliów Janusz Gulczyński. My dodajemy w numerze przysłowia i powiedzenia związane z tym szlachetnym zwierzęciem zapraszając Czytelników do nadsyłania podobnych. A może również nadesłacie nam dowcipy, chętnie zamieścimy, w końcu herb miasta do tego nas zobowiązuje. Cieszymy się również z wody czystszej i łąk zielonych, o czym w felietoniku na cześć Ziemi.

Pozdrawiam Stanisław Sroczyński

PS Panu Lechańskiemu, który prosi o pomoc w rozwikłaniu zdjęć, możemy potwierdzić tylko dwa zdjęcia, na jednym uchwycono jest Krzyż na Wale Tarejwy, na drugim szkoła wojskowa, co nie jest takie pewne. Przy zdjęciu palacjuszki bezradni byli nawet koledzy z ochrony zabytków, albo go już nie ma, albo przedstawia obiekt z innych okolic.

PS „Wiernemu” tłumaczy się Janek Sznajder na ostatniej stronie.

Z dziejów Konina

„Dzień konia” w Koninie

Felieton do dodatku „Koniniana” na miesiąc marzec A.D. 2004 r. myślę poświęcić szczególnemu świętu, jakie odbyło się w Koninie w czerwcu 1936 r.

Na wstępie jednak drobna dygresja. – Otóż nikt chyba obecnie nie kwestionuje, że herb naszego miasta, zgodnie z przedstawieniem rumaka, związany jest z koniem. Jak to się stało, że gród nad Wartą przed wiekami tak akurat został nazwany. W popularnej publicystyce, okazjonalnych opracowaniach i pismach literackich słyca się niejednokrotnie temat niemalże do wymiaru baśni. O legendzie powstania miasta pisał przed laty miejscowy regionalista Zygmunt Pęcherski, zamieszczając usterpy z legendy w jednym ze swoich krajoznawczych przewodników. Pisała też o legendzie konińska powieściopisarka Janina Weneda. Biorąc skrótkowo i nieco „na okrągło” treści legendy, ponoć miało być tak, iż w niezmiernych puszczach, które rozciągały się na obszarze obecnego miasta, drużyna księżca została zaatakowana przez rabusiów. Z pomocą przyszedł splotony tabun koni; rabusie przestraszyli się mniemając, że nadchodzi pomoc i zbiegli w przestraszu. Z wdzięczności miał książeć powiedzieć, że na tym miejscu powsta-

nie osada i nazwana zostanie Koninem.

Legenda, jak to legenda – brzmi niezwykle fantastycznie, ale i ciekawie. Nie wdając się w analizę powyższego opowiadania należy stwierdzić, że przedstawienie konia na pieczęciach miejskich grodu nad Wartą występuje już w końcu XIII w., co można zaobserwować i wyczytać choćby w pracach znanego heraldyka Mariana Guchowskiego.

Nie zajmując się w sposób szczególny heraldyką, jest to wiedza wyjątkowo specjalistyczna z zakresu nauk pomocniczych historii, operująca ściśle określonymi naukowymi regułami i zasadami. Pamiętam jednak, jak onegdaj jeden z miejscowych plastyków telefonował do mnie z pytaniem o herb miasta. Według jego słów herb z wyobrażeniem konia może należałoby nieco kompozycyjnie okraszyć i urozmaścić, np. dodać plastyczne ozdobniki, które miały skakać przez ścieżkę lub rozciągać, pośród drzew i krzewów. Nic podobnego – odpowiedziałem – nie czuję się w pełni kompetentny, ale na ile umiałem, wytłumaczyłem, że koń (biały), nieco wsparty na tylnych nogach, w lekkim biegu (stępa) z głową wróconą w lewą stronę, ma być umieszczony na ściśle określonej proporcjach wymiarów i kształtem tarz-



zdj. - P. Hejman

herbowej na polu czerwonym. To wszystko, bez żadnych dodatkowych ozdobników. Tak jest obecnie i od lat przedstawiany herb naszego miasta, co widać np. na flagach rozwieszonych np. przy Urzędzie Miejskim i w innych stowarych miejscach.

A teraz wracając do tematu wywołanego tytułem. W początku czerwca 1936 r. starosta powiatowy koniński Marian Koczorowski zaprosił rolników (i nie tylko) z powiatu i dalszych okolic do odwiedzenia Konina, bowiem zapowiadało się szczególne święto: „Dzień konia”. Przewidziano nie tylko możliwości transakcji handlowych, ale również pokazy koni, a także zawody sportowe, m. in. wyścigi konnych zaprzęgów.

„Dzień konia” po parotygodniowych przygotowaniach odbył się 28 czerwca 1936 r. Zobaczymy, jak zachęcał do wzięcia udziału w imprezie żurnalista „Głosu Konińskiego”:

Jeżeli człowiekowi miałbyś ochotę, mijając kiedykolwiek czcigodny fronton magistratu, podnieść głowę ponad codzienny poziom, dojrzałbyś umieszczony na herbowej tarczy miasta – wspaniałe wizerunek konia. Drugi koń jest jeszcze wyżej, na iglicy ratuszowej, przy dobrej pogodzie widać go wyraźnie. Otóż te wizerunki konia wraz z nazwą grodu stanowią niezbieżnie ilesmy winni koniowi.

[...] *Ciesz się koniu [...]. Mamy „Dzień konia” w dniu 28 VI 1936, stanowi on jakoby pierwszy krok na drodze rewizji naszego stosunku do ciebie [...].*

Uroczystości – zawody, w pierwowzorze miały się odbyć na funkcjonującym już wówczas i dobrze spełniającym swoje zadania, stadionie miejskim za parkiem; w końcu jednak zmieniono decyzję i zorganizowano święto

na targowisku miejskim i przylegających nieopodal rozległych błoniach.

[...] *Jako jeden z wielu – pisał dalej dziennikarz „Głosu...” – oglądałem niebywałe jak na tutejsze stosunki zainteresowanie społeczeństwa miejscowego i okazywało się liczny zastęp zawodników. Konie świadome swojej tutaj roli wyczyszczone i dobrane, radowały oczy wyglądem. Na przdzie trybuna z przedstawicielami władz, komisja sądziowska [...] opodal kramiki z wodą, no i muzyka orkiestry OSP.*

[...] *Zawody odbyły w ramach 4 konkurencji dostarczyły dużo emocji tym, którzy konia umięją cenić i kochać. [...] Startowało 16 zaprzęgów na zgłoszonych początkowo 23. [...] Po zakończeniu konkursów Pan Starosta w obecności delegata DOK VII udekorował zwycięskie zaprzęgi, wręczył dyplomy i nagrody pieniężne. Defilada zaprzęgów w takt orkiestry zamknęła tę część programu [...].*

Dalej były fachowe rozmowy, dokonywano też transakcji kupna-sprzedaży itp. Redaktor „Głosu...” nie omieszczał podać w sprawozdawczym tekście oficjalnych wyników zawodów. Nie przepisujemy obszernej listy zwycięzców, można jedynie podsumować, że znacznie wybijali się umiejętnościami z grona startujących: p. Magielski, p. Lucer i p. Kwiecień.

To tyle na temat „Dnia konia” w Koninie. Proszę nie podejrzewać mnie (wszakże pisanie moje ma bardzo luźny, nieskrapowany niczym charakter), abym w tym miejscu nawoływał do wskrzeszenia przedwojennej tradycji. Chociaż obilo mi się o uszy, że niektórzy, ze względu na rosnące zainteresowanie jeździectwem i w ogóle wszelkimi odmianami hippiki, chcieliby znów odświeżyć „Dzień konia” w Koninie.

Janusz Gulczyński

Ze wspomnień

Życie w Koninie na przełomie XIX i XX wieku

Konin położony w nadwarciańskiej kotlinie, zalewany w czasie powodzi co kilka lat, nigdy nie wysychał, zawsze był zawilgocony i cuchnący. Miał dwa stałe zalewy, a na nich mosty, w ulicy prowadzącej od fary do rozgałęzienia na ulic Kaliską i Kolskie Przedmieście. Jeden zalew był tuż za ogrodzeniem kościelnym, a drugi o paręset metrów dalej na południe. Dopiero dzielny burmistrz Ludwik Ganowicz, urzędujący w czasach międzywojennych, wspinał się gospodarz, zaspalał obie sadzawki i usypał groble zabezpieczające miasto przed powodzią. Ciekaw jestem, na którym placu stanie pomnik tego dużej miary działacza. Rodzina patrycjuszów poznańskich, a jednocześnie konińskich, Ganowiczów, dziełem Ludwika wspinała zakończyła karierę rodową. Ludwika szanowali wszyscy już wtedy, kiedy miał restaurację na rogu Długiej i Zagórowskiej, bo był to uczciwy i dobry człowiek, ale wtedy, w czasach niewoli carskiej, nikt nie wiedział, że ma do czynienia z późniejszym senatorem.

Konin miał wtedy 8000-10000 ludności, która nie znała przeszłości historycznej swego miasta. Ujeżdżone uprawleń, czyli starostwo, mieściło się przy Rynku. Dom ten został wybudowany z rozbiórką zniszczonego już zamku, który mieścił się na późniejszym Garncearskim Rynku. Był też przy Rynku hotel ze wspinałą restauracją Langego po stronie wschodniej ze schodami dwustronnymi na wysoki parter. Po powstaniu styczniowym zabory umieścili w Koninie pułk kawalerii. 13. Dragoniści Kargopolni Pułk składał się z sześciu szwadronów po 120 szabel. Pułk stacjonował na Solnym Magazynie. Ten Solny Magazyn to czerwone zabudowania na końcu

Kaliskiej, po lewej stronie. W czasach przednapoleońskich mieściły się tam składy soli pruskiego monopolu solnego. Przy szosie do Starego Miasta, w oddaleniu od miasta 1/2 km, a od szosy 300 m, po prawej stronie, mieściła się „prochownia” – skład mobilizacyjny pocisków karabinowych. „Prochownia” znajdowała się wśród furkocących wiatraków, których przed pobudowaniem młynów parowych Kowalskiego i Leszczyńskiego stało na polach konińskich mieszczan z górą dwieście. Było to miasto wiatraków. Nie darmo więc Sienkiewicz wspomina w Potopie młynarzy konińskich pod wodzą Zychlińskiego. Młynarzom dobre się wiodło, a młynarówny miały powodzenie. W porównaniu z młynarzami urzędnicy biurowi to „bidoki”, „latędy” (wyraz od lat na odzieży). Młynarze to przedsiębiorcy, przyjmowali zboże na przemiał i pobierali za to „miarki” oraz zboże nabywali, a sprzedawali mąkę i otręby. To była polska burżuazja, która wyginęła wraz z powstaniem młynów wielokapitalistycznych, już nie polskich. Innej polskiej burżuazji nie było. Garnbarnia Stanisławska to zakład rzemieślniczy z trzema najemnikami. Browar Józefa Kowalskiego. Musiał się dumny pan Józef pogodzić z losem i ożenić syna z Żydówką Przeworską dla poratowania ginącego przedsiębiorstwa. A Szwajcar Raymond odziedziczył po ojcu fabrykę aparatów gorzelnicznych i maszyn rolniczych, ale wkrótce spadł do pozycji właściciela warsztatu naprawczego, a głównie zył ze sprzedaży urządzeń, placów itp. Męczył się jeszcze Zaremba w swoich warsztatach gorzelnicznych, bo miał zaplecze gotówkowe u teścia, Kundego, właściciela Sławska. Owszem była w Koninie burżuazja, pan Spilfogel,

bogaty właściciel rektyfikacji i fabryki wódek, panowie Leszczyńscy i Kowalski, młynarze, kilkunastu bogatych kupców. W naszych stronach liczne rodziny żydowskie nosiły wybitnie arystokratyczne nazwiska, nadane im przez Prusaków. Wśród kupców trafił się czasem wyjątek, na przykład dzielnicy Rybczyński, ale to rodziny. Żydowskie fortuny wrosły z tej przyczyny. Gdy Izraelita zarabiał 30 zł miesięcznie to odkładał złotówkę, a za 29 żył ziemniakami z dodatkiem chleba. Jeden śleź na szabas podzieleny na tyle dzwonek ile osób siedało do stołu. Gdy zarabiał 50 zł to odkładał 10 zł, a gdy zarobił 100 to odkładał 20 itd. I stopniowo przechodził do spożywania kur, pieczywa, tuczonych gąsienic, szczipaka faszerowanego, ale bez żadnych wybrków. A Polak, gdy jako urzędnik zarabiał miesięcznie 300 zł, to kłął, narzekał i zaciągał długi, których w końcu nie oddawał, bo nie miał z czego. Na początku miesiąca balał i był wielkim panem i kompanem, a w końcu miesiąca nie miał wódkę do herbaty. Jak Żyd chciał sobie „użyć” fundował sobie wodę sodową z „podwójnym soczkiem” i opowiadał o tym wszystkim znajomym, żeby go podziwiali jak to z niego rozpustnik.

Niezapomnianą egzotykę stanowiły w Koninie i we wszystkich miasteczkach iluminacje szabasowe. W piątek, skoro słońce zaszło, ludność żydowska zapalała w mieszkaniach, ustawione na stołach jadalnych, świeczki, a że dymy były parterowe, a okna nie zasłonięte, więc dymy żydowskie jarzyły się od tych migoczących światełek. W piątek nikt już z domów żydowskich nie wychodził – wieczór to czas modlitwy w domu. Dopiero w sobotę pełne były bóżnice (tak polska ludność nazywała żydowskie domy

modlitwy). Nigdy nie używano wyrazu synagoga, chyba w aktach urzędowych. Sobotnie popołudnie przeznaczone było na spacer, cała ludność żydowska, gdy dopisywała pogoda, tłumnie wylęgała na ulice miasteczka, częściowo do parku. Zamiejskich spacerów Żydzi nie lubili. Natychmiast po zachodzie słońca zakończenie szabas połączone z posiłkiem i modlitwą, i marsz do roboty! Wszystkie sklepy i sklepiki, jak na komendę, otwierano i czekano na kupujących. Przed pierwszą wojną światową sklepy były tak długo otwarte jak sobie tego życzyli ich właściciele, po wojnie godziny handlu były ustawowo ograniczone. Na jesieni, w święto „kuczek”, przez wiele dni, Żydzi nie jadał w mieszkaniach, ale właśnie w tych kuczkach. Miały to być szalasy na pustyni, więc stawiano na podwórzach miniaturowe baraczki, w których się posilano. Zamożni urzędnicy siedzieli na balkonach. Również na jesieni wytrząsano sobie grzechy na brzegu Warty. Żydzi gromadami chodzili wtedy nad brzeg rzeki, potrząsali tam chałtami coś mamrocząc. Nadto surowość i powaga we wszystkich.

W Koninie była też silna grupa Niemców, zapominających stopniowo o swoim germańskim pochodzeniu. Ludzie ci nazywali siebie ewangelikami i obrażali się, gdy Polacy nazywali ich Niemcami. Koniniacy ewangelika przerabiali na łatwiejszy do wymowy wanielika i na przykład o lubianym rzeźniku Gustawie Walterze mówili: „Guciu Walter to przecież wanielik, a porządny człowiek”... W tamtych czasach ludność Konina była całkowicie zintegrowana. Do najlepszych moich kolegów tego wyznania należeli: Bertold Jaehne (Janke), który ukończył w Krakowie medycynę, i jego brat Eugeniusz, potem pracownik bankowy w Warszawie. Berek jako lekarz w armii rosyjskiej zmarł podczas I wojny światowej, a Gienia wykończyli hitlerowcy. Dalej idzie polski dom ewangelicki Daniela Sztarka, mydlarza. Lolek ożeniony z Adamówną z Kalisza, człowiek z uniwersyteckim wykształceniem, został konsulem generalnym RP w Kolonii. Ernest Paweł Michel, szanowany i lubiany księgarz, wychował Polaka Bronka, inżyniera górniczego Władka i kapitana WP Paśka (Pawła). Nikt z nich nie żyje. Wymieniona – nazwijmy – ówczesna młodzież to chłuba Konina. W naszym gronie przebywali też często Izraelci: Fliks Weiss i Salo Sander. Pierwszy studiował w Belgii i był potem współwłaścicielem banku w Warszawie. Drugi też w Belgii ukończył medycynę i tam osiadł. Od 1906-7 roku przestali istnieć dla nas, a my dla nich.

Naturalnie była za mojej młodości w Koninie „elita”. A więc pan doktor Ostrzycki. Głównym zajęciem tego „świecznika”, bez którego Konin wraz z okolicą nie mógł istnieć, było zabawianie pani aptekarowej Krywulowej. Doktorowi kłaniali się wszyscy, on zauważał tylko niektórych. Postać prawie legendarną był pan Józef Kupertyn Morawski, stary kawaler, były obywatel ziemski, który żył z kuponów od listów zastawnych i u którego odbywały się, Panie Dobrodzieju, sławne wieczory winowe. Zawsze do „elity” należał dziekan i kilku różnych starszych panów mniej ważnych.

Oprócz wyżej przedstawionych wielkości konińskich były różnorodne postaci z minami i bez min. Zastępca notariusza, a następnie notariusz Eugeniusz Światliki duszę wkładał w rozwój Towarzystwa Wioślarskiego, do jego przysięgi należał doktor Żywanowski, lekarz Tadeusz Koszłuski i inni inteligentni, lubiący dobre towarzystwo mężczyźni.

Józef Zdzienicki

Autor Józef Zdzienicki ur. w 1888 r. (Stare Miasto), po rocznej nauce w Koninie, uczył się w szkole realnej w Kaliszu, której za udział w strajku szkolnym w 1905 r. nie ukończył. W 1918 r. jako komendant POW rozbrajał Niemców w Łęczycy. W latach 1945-1960 pracował w Gdańsku jako inspektor rolnictwa. W latach 1969-71 przesyłał na ręce kierownika Muzeum Okręgowego Andrzeja Nowaka wspomnienia i osobiste refleksje o latach młodości i pobytu w Koninie.

Wybrał i do druku przygotował Lech Hejman

Tworzyli wizerunek miasta

Z szablą i stetoskopem

dr Mieczysław Czerwiński

Nas jeszcze wtedy nie było na świecie. Z kart historii odczytujemy bez jakiegokolwiek emocji pusto brzmiące nazwy: Kostuchówka, Rokitna... Na wschód od Zamościa leży wieś Komarów. Po horyzont ciągną się pojedyncze sylwety chałup. Daleko, w pustym polu, kurhan. Za ogrodzeniem tablice poległych. Zginęli w szarży na Konarnię Budionnego lat temu osiemdziesiąt kilka. Właśnie wtedy młody wachmistrz 9. pułku ułanów, Mieczysław Czerwiński, świętował, okupione krwią poległych kolegów, zwycięstwo.

Urodził się w 1892 roku w Kaliszu. Później rodzice przenieśli się do Częstochowy. Tam, jako uczeń gimnazjalny, został relegowany z rosyjskiej szkoły, za jawny opór wobec nauczyciela. Do miasta docierały dzwonne wieści o tworzących się w Krakowie oddziałach polskiego wojska. Mieczysław ucieka z domu pod komendę Józefa Piłsudskiego. Pierwsze ćwiczenia wojskowe, wymarsz z Oleandrów, udział w walkach I Brygady, tyfus, po-

święcenia wykażała piękna pani Nawrotkowa (matka dr. Jerzego Nawrotka).

Lekarz powiatowy był równocześnie lekarzem kwalifikującym poborowych do służby wojskowej. Zdarzało się, że miejscowi autochtoni niemieccy próbowali przekupić doktora, na co się nie zgadzał. Na konsekwencje nie trzeba było długo czekać. Wybuch wojny 1939 roku zmusił doktora do opuszczenia Konina z rodziną w obawie przed zemstą Niemców.

Ucieczka, przerywana bombardowaniem dróg, zatorami, jękami rannych i paniką oszalanych tłumów uciekinierów zakończyła się na kresach dawnej Polski, ziemiach, na których ukraiński

poświęcenia wykażała piękna pani Nawrotkowa (matka dr. Jerzego Nawrotka).

Lekarz powiatowy był równocześnie lekarzem kwalifikującym poborowych do służby wojskowej. Zdarzało się, że miejscowi autochtoni niemieccy próbowali przekupić doktora, na co się nie zgadzał. Na konsekwencje nie trzeba było długo czekać. Wybuch wojny 1939 roku zmusił doktora do opuszczenia Konina z rodziną w obawie przed zemstą Niemców.

Ucieczka, przerywana bombardowaniem dróg, zatorami, jękami rannych i paniką oszalanych tłumów uciekinierów zakończyła się na kresach dawnej Polski, ziemiach, na których ukraiński



przeniósł się z żoną i trojgiem dzieci (najstarsza córka miała 8 lat) do pobliskiego Koniecpola. Niewielka praktyka lekarska w małym miasteczku pozwalała na przetrwanie. Na wschód od Koniecpola ciągną się duże kompleksy lasne dające schronienie dla leśnych oddziałów, wokół trwają walki. Coraz częściej pukają do okien lekarza potrzebujący medycznej pomocy. Doktor jeździ po lasach, opatruje rany, wyciąga kule, zszysywa poranione ciała. Wojna się kończy. Czerwiński wracają do Konina. Dr Czerwiński zostaje kierownikiem Ośrodka Zdrowia przy ulicy Mickiewicza, później kierować będzie Pogotowie Ratunkowym, by wreszcie objąć stanowisko dyrektora Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej i na co dzień zajmować się sprawami miejskiej oraz wiejskiej higieny.

Po przejściu na emeryturę swój wolny czas dzielił doktor między domem w Koninie i domem w ukochanej Posoce. Zmarł 9 marca 1968 roku. Ten uproszczony tekst nie mieści w sobie żołnierskiego trudu w walce o wolną Polskę, wdzięczności ocalonych od cierpienia i śmierci pacjentów doktora. Ten tekst jest tylko zarysem, którym można by oddzielił przedstawicieli kilku pokoleń.

Jan Sznajder

Zwykłe – niezwykłe

Zyły wśród setek innych mieszkanek Konina. Przeżywały swoje radości i smutki, były matkami, żonami, siostrami. Były wśród nich nauczycielki, pielęgniarki, sprzedawczynie, gospodynie domowe, dopiero wracające w życie dziewczyny. Przypadło im żyć w czasach okrutnych, ponosiły ofiary, cierpiały. Pamięć o nich – **kobietach Konina** – zachowują stare fotografie w zbiorach rodzinnych, czasami krótkie zapiski w tekstach drukowanych, na ogół pozostają w wyobraźni tych, którzy jeszcze ich sylwetki noszą w swoich sercach i oczach. Niech te krótkie biografie i wspomnienia o konińskich kobietach zwrócą naszą uwagę na lata przeszłe, a ich przypomnienie niech będzie wyrazem uznania dla tego co robiły, niech na chwilę ożyją.

Stefania, Lucja Esse, urodzona w Koninie w 1876 roku w mieszczańskiej rodzinie Peczków. Po zdobyciu kwalifikacji nauczycielskich uczyła języków obcych na pensji Semadeni i Komornickiej, potem w Szkole Handlowej i konińskim gimnazjum. Była aktywnym działaczem POW, organizatorem imprez oświatowo-kulturalnych. Z niezwykłą troską kształciła młode charaktery nie tylko w znajomości języków obcych, ale w poznawaniu i rozumieniu kultury i cywilizacji światowej. W latach wojny 1939-43 prowadziła tajne nauczanie, potem przebywała w Domu Starców. Człowiek wysokiej kultury, wzór dla młodych koninian. Doświadczyła śmierci męża po zaledwie 6 latach małżeństwa i tragicznej śmierci syna maturzysty w nurtach Warty. Zmarła w 1959 roku.

Maria Rogowska – przeżanna Pani, kwintesencja dobroci, mądrości i wyrozumiałości. Jedna chyba z pierwszych znanych mi nauczycielek sto-

sująca sokratyczną metodę rozmowy w nauczaniu. Zrozumiałem to oczywiście po latach. Miałem szczęście poznać ją podczas okupacji. Utrzymywała się pracując jako sprzątaczką w restauracji „nür für Deutsche” (późniejsza „Europa”). Często zachodziła do moich rodziców. Któregoś dnia stwierdziła, że dojrzałem do „obowiązku szkolnego”. Stało się to po tym, jak od „pierwszego razu” powtórzyłem wierszyk – „Staś na sukni zrobił plamę...” Właściwie to nauczyła mnie tylko czytania. Nauka pisania była zbyt niebezpieczna. Dzięki pani Marii już po pół roku w Słupcy. Po uzyskaniu kwalifikacji nauczycielskich (roczny kurs w Łęczycy w 1914 r.) uczyła dzieci prywatnie, potem w szkole żeńskiej w Słupcy, a od 1918 r. do przejścia na emeryturę w 1965 w Morzysławiu. W kolejnych latach uzupełniała kwalifikacje zawodowe na kursach w Koninie, Kielcach, Nowym Sączu i wyższym w Toruniu. Zaczynała pracę w szkole jednoklasowej stopniowo doprowadzając ją do szkoły III stopnia z 7 nauczycielkami w 1939 roku i do szkoły ćwiczeń dla liceum pedagogicznego w nowoczesnym budynku (obecnie jeden z budynków PWSZ) Pracowała niezwykle aktywnie w środowisku wiejskim organizując pracę w Kole Gospodyń Wiejskich, straży pożarnej, Stronnictwie Demokratycznym. W 1940 roku wysiedlona do Generalnej Guberni pracowała do końca okupacji niemieckiej jako kierowniczka internatu w Wojniczu. Zajmowała się tajnym nauczaniem. Zmarła w 1980 roku.

Klara Michalska, urodzona w 1897 r. w Słupcy. Po uzyskaniu kwalifikacji nauczycielskich (roczny kurs w Łęczycy w 1914 r.) uczyła dzieci prywatnie, potem w szkole żeńskiej w Słupcy, a od 1918 r. do przejścia na emeryturę w 1965 w Morzysławiu. W kolejnych latach uzupełniała kwalifikacje zawodowe na kursach w Koninie, Kielcach, Nowym Sączu i wyższym w Toruniu. Zaczynała pracę w szkole jednoklasowej stopniowo doprowadzając ją do szkoły III stopnia z 7 nauczycielkami w 1939 roku i do szkoły ćwiczeń dla liceum pedagogicznego w nowoczesnym budynku (obecnie jeden z budynków PWSZ) Pracowała niezwykle aktywnie w środowisku wiejskim organizując pracę w Kole Gospodyń Wiejskich, straży pożarnej, Stronnictwie Demokratycznym. W 1940 roku wysiedlona do Generalnej Guberni pracowała do końca okupacji niemieckiej jako kierowniczka internatu w Wojniczu. Zajmowała się tajnym nauczaniem. Zmarła w 1980 roku.

Jadwiga Dobrecka – była niezwy-

kle miłą, sympatyczną i piękną osobą. Mogą solidnie zaświadczyć o tym byli uczniowie, szczególnie chłopcy ze Szkoły Podstawowej przy ulicy Mickiewicza. Ponieważ były to lata tuż po wojnie – miała w klasie 18-letnich „dryblasów” oraz nas „normalnych”. Radziła sobie z nami znakomicie, choć uroda „dryblasom” nieco przeszkadzała w naukowej koncentracji. Pani Jadwiga była też zaczynem inicjującym powstanie towarzystwa regionalnego, głównie Zrzeszenia Absolwentów Konińskich Szkół Średnich. Była chodzącą encyklopedią wiedzy o mieście, które ukochała ponad wszystko. To ona przypominała nam o ważniejszych datach i rocznicach dotyczących Konina. Miałem przyjemność, a potem satysfakcję, że mogłem współpracować z nią w szeregach Towarzystwa Przyjaciół Konina.

Irena Jacolik, urodzona w 1912 roku. Jako żona Feliksa (1911-1942), komendanta ZZW w Koninie w latach 1940-42 zajmowała się kolportażem prasy konspiracyjnej i pracą łączniczką między członkami ZZW na Ziemi Konińskiej. Po aresztowaniu więziona w Inowrocławiu.

Melania Jakubowska, nauczycielka w Szkole Podstawowej przy ulicy Mickiewicza. Zapamiętałem ją, ponieważ znałem mój żywot temperamentu, na wszelki wypadek, podczas czytania, sadzała mnie obok siebie. Trwało to do czasu opanowania w miarę poprawnie trudnej sztuki czytania, wtedy „Historii żółtej ciemki”. Umiała wyuczyć, kiedy któryś z nas, uczniów, znudzony monotonią wchłanianej wiedzy, zaczynał „bujać w obłokach” lub „marzyć o niebieskich migdałach”. Ściągała nas wtedy nieublaganie, ale z twardej życzliwością nauczycielki na mądry, pewny, realny grunt zwany „zie-



Kto je jeszcze pamięta

mią”. W latach późniejszych pracowa-
liśmy razem w Szkole Podstawowej przy ulicy Wodnej. Była bibliotekarką, która chodząc po klasach podawała nieomylnie każdemu uczniowi odpowiednią dla niego książkę. To był jej siódmy zmysł.

Aleksandra Pecherska przez uczniów Liceum Ogólnokształcącego nazywana była „Babuszką”. Uczyła biologii – właściwie powinienem napisać, nauczyła nas biologii. Była tak przekonywująca, że bez słowa sprzeciwu, a nawet z niejakim entuzjazmem, kopaliśmy zawzięcie kawałek twardego boiska, aż o dziwo, powstał tam ogródek doświadczalny, na którym uprawialiśmy różne rośliny. Nauczyła nas autentycznego szacunku do zwierząt i roślin. Nie do wiary, ale przestaliśmy straszyć psy, koty oraz łamać gałązki. Przestało nam smakować skryte palenie papierosów. Nie dlatego, że to było szkodliwe dla zdrowia, ale dla-

tego, że „Babuszka” nie wierzyła, że my moglibyśmy palić. Tak, to były odległe, prehistoryczne nieomal czasy, kiedy nauczyciel służył osobistym przykładem, zaś uczniowie chcieli go naśladować. Gdyby „Babuszka” żyła, powiedziałaby, że świat i ludzie لذا chwila się poprawią – gdyby żyła...

Frania Beatus, urodzona w rodzinie żydowskiej w Koninie. Wywieziona w gronie około 1200 Żydów z Konina do getta w Ostrowcu Świętokrzyskim (30 listopada 1939 r.). W 1942 roku została przemyciona do Warszawy, gdzie zajmowała się organizacją dostarczania żywności, ludzi potem obojętne do walczącego getta. Była łączniczką Lechacza Cukiermana, jednego z organizatorów DROR-u, żydowskiej organizacji bojowej, z dowódcami powstania w getcie. Po upadku i klęsce powstania, 12 maja 1943, pełniła samobójstwo. Miała 17 lat.

Opł. St. S. i L.H.

Naszym zdaniem

Biblioteki w edukacji

W książce „Co z tą Polską?” Tomasz Lis wiele miejsca poświęca sprawie edukacji polskiej młodzieży. Nie można nie zgodzić się z trafnymi wywodami autora, gdy pisze o niskim poziomie nauczania w szkołach, o istniejących nierównościach w dostępie do wiedzy młodzieży i studentów z małych miejscowości i mniej zasobnych w gotówkę. Nie powinno być oczywistością przekonanie, że wiedzę podają nauczyciele i profesorowie, że na rynku księgarskim są podręczniki i wydawnictwa naukowe, że na każdy temat informacje zdobyć można przy

W książce zabranm – odniesienia autca bibliotek w sytuac podrechników i lekoplai internetowych cych się i studiują

liwość dotarcia do zasobu polskiego i światowego dziedzictwa literackiego i naukowego. W bibliotekach każdego roku rejestruje się około 18,5 tysiąca czytelników. Przyjmując, że ok. 3200 są to mieszkańcy (młodzież szkół średnich, studenci, pacjenci na oddziałach szpitalnych) okolicznych gmin, to i tak konińskie biblioteki publiczne odwiedza prawie co piąty mieszkaniec miasta. Przy czym słowo odwiedza znaczy coś więcej, przychodzi po określone, potrzebne mu do nauki lub tylko dla przyjemności czytania, tytuły. W ubiegłym roku czytelnicy wypożyczyli 363 tysiące książek, aż o 10 tysięcy więcej na zewnątrz niż w 2002 roku, co przeczy obiegowemu twierdzeniu, że biblioteki (w Koninie!), w dobie Internetu są instytucjami przetrzymującymi się. Owszem, zauważalne są zmiany w odbiorze książek. Więcej wypożycza się lektur i wydawnictw naukowych, roślinie zainteresowanie publikacjami zawierającymi encyklopedyczne poszukiwane są bestsellery światowej (Harry Potter) i kreatów nagród literackich (Nobel), pozycje popularne i kosmosie, ek-

logii, komputerach, diecie, kosmetykach, modzie, sporcie i inne.

Dużą grupę czytelników stanowi ucząca się młodzież (7643), z czego 3458 nie ukończyła 15 lat, co zdaje się być ilością niewielką wobec liczby dzieci w konińskich podstawówkach i gimnazjach. Jeśli te dzieci nie korzystają z bibliotek szkolnych i własnych zbiorów to tendencja spadku czytelnictwa, szczególnie wśród uczniów klas V-VI i gimnazjalnych, powinna napawać obawą o poziom wiedzy przyszłych Polaków. Na stałym poziomie, około 3 tysięcy rocznie, utrzymuje się liczba studentów w bibliotekach publicznych.

Dla zaspokojenia potrzeb czytelnicych mieszkańców miasta i okolic Konina konieczne są środki nie tylko na zakup nowości, ale także na utrzymanie placówek bibliotecznych i na wynagrodzenia dla bibliotekarzy, mocno odbiegające od średniej krajowej. Należy mieć nadzieję, że Miejska Biblioteka Publiczna w nowej siedzibie przy ulicy Dworcowej (czwarty kwartał br.), przy zachowaniu biblioteki osiedlowej na Starówce w obecnej siedzibie, spełniać będzie oczekiwania mieszkańców. Oby tylko starczyło wyobraźni naszym radnym i radnym powiatu ziemskiego co do wysokości dotacji na rok 2005 i na dalsze lata i nie żalowali środków koniecznych do prowadzenia bibliotek publicznych służących przede wszystkim dzieciom i całej społeczności Konina i Ziemi Konińskiej.

Słów kilka o klasztorze Reformatorów w Koninie

Wiedzę o dziejach klasztoru, o jego wystroju i zabytkach, Czytelnicy znajdą w publikacji z 2002 roku udostępnianej w bibliotekach i możliwej do nabycia w wydawnictwie MARKUZ. Uzupełnijmy tekst Stefana Paszka i o. Mikołaja Lechwara o dodatkowe fakty.

W latach 1862-1864 zakonnicy z ówczesnym gwardianem o. Wojciechem Jachowskim prowadzili szkołę elementarną dla uczniów w wieku 8-14 lat, synów miejscowych urzędników, kupców i rzemieślników. Szkołę założono na mocy carskiej „Ustawy o wychowaniu publicznym w Królestwie Polskim” (ukaz cara Aleksandra II z maja 1862 r.) i apelu Aleksandra Wielopolskiego, ówczesnego naczelnika rządu cywilnego Królestwa, do duchowieństwa w tej sprawie. Naukę prowadzono w obiekcie klasztornym bezpłatnie. W programie nauczania znajdowały się przedmioty: język polski, język niemiecki, język francuski, łacina i religia. Szkoła miała bardzo krótki żywot bo przestała funkcjonować już

dwa lata później, czyli z chwilą likwidacji zakonu w Koninie (27/28.XI.1864). Zakonników: Wojciecha Jachowskiego (w zakonie od 1847 r.) i Opatą Mikołaja Podlaskiego (w zakonie od 1839 r.) i kilku pozostałych nieznanych z nazwiska przeniesiono do klasztoru „etatowego” do Kalisza. Przebywali tam otrzymując każdy roczną dotację po 125 rb. Nieliczne klasztory „etatowe”, w myśl ukazu cara z 1864 r. i opartych o niego „Przepisach dotyczących utrzymania i zarządu klasztorów Rzymsko-Katolickich w Królestwie Polskim”, otrzymały z kasy rządowej roczną dotację w wysokości 1750 rb na 14 zakonników i były pozbawione prawa do kwestowania, tym samym ograniczono im możliwość kontaktowania się ze społeczeństwem.

Klasztor w Koninie oraz tej samej reguły klasztor w Choczynie, Brzeżniam, Miedniewiczach i Szczawnie Koscielnym zaliczono do tzw. klasztorów „nieetatowych”, a te, jako udzielające dużego poparcia dla powstańców, poddano bezwzględnej kasacji.

Lech Hejman

Taki sobie felietonik...

I uczynili DZIEŃ ZIEMI swojej

Jakże ciężkie musiało być życie naszej pramatki, Lucy z Afryki. Była Ziemia bowiem trudnym partnerem dla istot ją zaludniających. To zaledwie 3 miliony lat temu – oczywiście „zaledwie” w odniesieniu do 5 miliardów historii Ziemi. Faktem jest, że Bóg w swej nieskończonej mądrości – widząc swoje nieco nieudane dzieło (człowieka, nie świat), nie chcąc, aby ten nie zrobił sobie krzywdy – pochował i pozakrywał przed nim prawie wszystko. Coś jednak przeczuwając, pozostawił na widoku obficie owocującą jabłoni (prawdopodobnie papierówkę). Nie omylił się, udało się człowiekowi pozbyć z rajku! I odtąd biedny homo

erectus musiał wydzierać dobremu Panu każdy „atom”, każdą „drobinę”, „cząsteczkę”. Udało się, ponieważ widocznie przez przeznaczenie, pozostawiono hominidowi zupełnie pokazne mózgowie. Aby w ogóle przetrwać – podstępem odebrał z rajku ogień. Musiał wymyślić każde narzędzie. Szczęśliwie na samym początku odkrył maczugę, potem zaraz łuk i nieco później koło. Zaczynał powoli panować nad Ziemią z całym dobrodziejstwem jej inwentarza. Szukając ukrytej energii – bo zapasy zaczęły się rozpaczliwie kurczyć – rozbił jądro atomowe. To było to, strzał w dziesiątkę! Poczuł już Homo Sapiens – jak ener-

gia, dosłownie, zaczyna go rozpieścić. Teraz mógł konkurować nawet z samym Panem Bogiem. Miał siłę, aby w kilkanaście sekund zniszczyć to, na co Stwórca musiał poświęcić aż całe sześć dni. Czyż człowiek nie stał się koroną wszelkiego stworzenia. A zresztą jak twierdził O.Wilde: „każdy jest taki, jakim go stworzył Bóg – a czasami nawet gorszy”. Ale jednocześnie Hemingway ostrzega: „człowiek nie jest stworzony do klęski. Człowieka można zniszczyć, ale nie pokonać”. Sceptyczny jest tylko Staff:

„Czytam historię // I widzę coś zrobił // Przez tysiąclecia, Człowiecze // Zabijałeś, mordowałeś // I wciąż prze-



Odkrywka w Kleczewie

myśliwasz // Jakby to robić lepiej // Zastanawiam się, czyś godzinę // Aby cię pisać przez wielkie C.//

Ale wreszcie Człowiek zrozumiał dlaczego dobrotliwy Bóg dał mu taki duży „zapas” mózgowia – zrozumiał i

na początek ustanowił dzień 21 marca – Dniem Ziemi swojej.

Może nasze matczyko wreszcie odetchnie, a Człowiek zacznie spłacać wobec niej swoje długi.

Stanisław Sroczyński

Koń w przysłowia

Nazwa miasta Konin etymologicznie wywodzi się od konia niegdyś na łąkach nadwarciańskich hodowanego. Możliwe jest, że kilkanaście szalazów lub ziemianek postawionych przez strażników owych książęcych stadnin dało początek naszemu miastu. Skoro w nazwie mamy to szlachetne zwierzę, towarzysza wojennych wypraw naszych przodków, czasami jeszcze niezawodnego w pracach rolnych, współuczestnika zawodów hippicznych, to przypomnijmy za Adalbergiem i Kolbergiem niektóre przysłowia i powiedzonka z koniem związane.

Chudy koń rychło ustanie
Co dwa konie, to nie jeden
By koń o swej sile wiedział, żaden by
na nim człowiek nie usiedział
Jechać co koń wyskoczy
Dam ci konia z rzędem
Darowanemu koniowi nie patrzaj w zęby
Do konia i białogłowy przystępuj śmiało

Do kobiety i do konia z przodu się
postępuje
Dobry koń musi się wybrykać
I koń nad siłę nie skoczy
I najładniejszego konia trzymaj w cuglach
Każdy ma swego konika
Każdy koń do domu śpieszy
Kiedy ma się konia, łatwiej o uzdeczki
Każdy koń jeźdźca pona

Kiedy spaść, to z dobrego konia
Konia nie bij, zony nie drażnij, chcesz
li mieć z nich pożytek

Konia ślepego, chłopca starego, brydziej
jejmności - nikt nie zazdrości
Konia cieszy owies, krowę koniczyna,
starego pieniądze, młodego dziewczyzna

Koniom w drodze, a żonie w domu nie
wier

Koń jeźdźcem, żona mężem stoi
Koń kobylie nie udusi

Koń o święto nie prosi, tylko postu
nie lubi

Koń żłobu, nie złób konia szuka
Kto bywa na koniu, bywa i pod koniem

Koń ma cztery nogi, a potknię się
Kto konia nie spróbuje, kulawego kupi
i kto panny nie znając żeni się, też głupi

Koń koniowi nierówny
Koń, póki młody, to bryka, a na starość utyka

Młodego konia stary jeździec ujeżdży
Na cudzym koniu daleko nie zajdziesz
Na koniu, na kazaniu, na radzie nie
uchodzi spać

Postawić na dobrego konia
Siedzi na koniu, jak pies na płocie
U pięknego konia ma być głowa jak u
panny, pierś jak u wdowy, nóżka jak u
dziecięcia

Zły koń i z góry nie pociągnie
W koniu wiosna, w pannie ślub wady
odkrywa

Szczęśliwy komu się wiodą konie, zony
i kochanki

Godzien chodzić piechotą, kto nie umie
dbać o konia

Wybrał L.H.

INSPIRACJE KULTURALNE

Tomasz Jankowski

Dotyk dłoni

Ulotny
jak muśnięcie
skrzydłem motyli
albo
promykiem
wschodem słońca
a po chwili
dzieje się coś
czego przewidzieć
nie da się
końca...

Wiersz nadesłany
na XXIII edycję
konkursu o nagrodę
„Milowego Słupa”



zdj. - P. Hejman

Z legendarnych dziejów Konina

O nazwie Mikorzyn

Dawno temu żył sobie dziedzic wsi. Miał żonę, niesamowitą sekretnicę. Terroryzowała męża, dzieci i służbę. Wyzywała, krzyczała, stała była z czegoś niezadowolona, stale wymagająca, jednym słowem obrzydzała wszystkim życie tak, że trudno było z nią wytrzymać.

Az kiedyś zasłabła, zachorowała i umarła. Nieboszczkę włożono do trumny i wyprawiono pogrzeb. Cmentarz mieścił się po drugiej stronie jeziora. Kondukt żalobny wyruszył w daleką drogę. W miejscu, gdzie obecnie mieści się ośrodek wypoczynkowy w Mikorzynie, w lesie stał dąb. Drzewo było rozłożyste, a wielkie korzenie wystawały ponad grunt. Woznica zawadził wozem z trumną dziedziczki o korzenie i trumna podskoczyła, a po chwili dał się słyszeć jakiś głos. Kondukt

stanął, trumnę otworzono i okazało się, że dziedziczka nie zmarła tylko wybudziła się z letargu. Nie minęło kilka dni, a pani znowu jak dawniej dla wszystkich była dokuczliwa. Jednak po upływie kilku lat zmarła. Gdy karrawan zbliżył się do wspomnianego dębu dziedzic krzyknął do woźnicy: „Miń korzeń! Miń korzeń!”. Polecenie odniosło skutek, dziedziczka bez kłopotów pochowano. Ludność zapamiętała okrzyk pana i to miejsce nazywano Mińkorzeń, co zmieniono w czasie na Mikorzyn i dało nazwę tej miejscowości.

Jest to tylko legenda. Nazwa jak wiele innych, kończących się na -yn, ma pochodzenie od imienia Mikora, niedyjszego właściciela wsi.

Z pism
Zygmunta Pęcherskiego

Odpowiedzi

redakcji

Życzliwy nam „starokoninianin” podziękował za satysfakcjonującą go odpowiedź na zagadkę - zdjęcie budynku z „oponką” przy ulicy Kilińskiej. Informację o powojennym losie lokalu uzupełnia przytoczeniem słów znajomego malarza, który w tym mieszkaniu skrobał ściany do tynku, aby zlikwidować pozytywne ornamenty. Do tekstu Jana Sznajdra „Spacer na rauszu” wnosi uwagę, że autor zapomniał napisać o barze „U Drzałowej”.

Poniżej odpowiedź Janka.

Starość nie radość. Ubytki pamięci doskwierają. W latach 1960-62 nowo powstały Powiatowy Dom Kultury dzielił swe pomieszczenia z wieloma instytucjami. Prowadziłem wówczas zajęcia plastyczne z dziećmi. Lokalu do prowadzenia zajęć udzielił PDK ówczesny kierownik Szkoły Podstawowej nr 2 Henryk Czubiński. Szkoła mieściła się w dawnych koszarach przy ulicy Kaliskiej. Dwa razy w tygodniu podchodziłem pod górkę, a po zajęciach często wstępowałem do pani Drzałowej na piwo. Jak mogłem o tym zapamiętać!

Pozdrawiam Jan Sznajder

KONINIANA

ADRES REDAKCJI:
62-50 Konin, ul. Przemysła owa 9, tel. 243 77 00, 243 77 03

Redaguje zespół Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Konina

ISSN 068-0893